

JERZY KOCHANOWSKI
Uniwersytet Warszawski
Instytut Historyczny

„Każdy chce jakoś żyć”. Pieniądze, bieda i bogactwo w (po)październikowej Polsce (1956–1957)*

„Co będzie i jak będzie? — zapisał Jerzy Zawieyski w „Dzienniku” 1 stycznia 1957 — To, co się stało w Polsce pod koniec minionego roku, nie zapowiada stabilizacji. Przeciwnie — wszystko jest niepewne, dynamiczne, nasycone konfliktami. Jedno jest oczywiste, że nie wróci nic do dawnego stylu i obyczaju. Zaszły fakty nieodwracalne”¹. Miał rację, gdyż okres między Październikiem 1956 a zakończeniem „polskiej rewolucji”, symbolicznie wyznaczonym przez warszawskie zamieszki po rozwiązaniu „Po prostu” rok później, pozostawił trwalszy ślad, niż się nam zazwyczaj wydaje. O ile bowiem osiągnięcia polityczne tej swoistej „rewolucji międzypaździernikowej” uległy dość szybko rozmyciu, o tyle przemiany społeczne i modernizacyjne — od utrwalenia sektora prywatnego przez rozwój motoryzacji i zmiany konsumpcyjne po świadome macierzyństwo — miały charakter trwałe, a skutki były odczuwalne przez następne dekady. Niniejszy artykuł, nieaspirujący bynajmniej do głębokiej analizy ekonomicznej, tylko sygnalizuje — z pełną świadomością powierzchowności i uwzględnienia tylko niektórych aspektów — jeden z najważniejszych i jednocześnie rzadziej zauważanych problemów popaździernikowej rzeczywistości — problem pieniędzy.

„PIENIĄDZE SIĘ LICZĄ”

Nie oznacza to oczywiście, że wcześniej się nie liczyły i ich nie liczone. Jednak od połowy 1956 r. zarówno władze, jak i społeczeństwo inaczej podchodziły do szeroko rozumianych finansów. Pieniądze stały się elementem otwartej

* Tekst powstał w ramach finansowanego przez Narodowe Centrum Nauki projektu 2012/07/B/HS3/01108 „Rewolucja międzypaździernikowa. Rok 1957 w Polsce”.

¹ J. Zawieyski, *Dzienniki*, t. I: *Wybór z lat 1955–1959*, Warszawa 2011, s. 333.

debaty, rzeczywistym narzędziem polityki, wyznacznikiem stratyfikacji społecznej, przedmiotem nie tylko pożądanego i zazdrości, lecz także sporu, czasami zażartego. Nie bez znaczenia jest również fakt, że od jesieni 1956 r. znowu można było (stosunkowo) bezkarnie liczyć nie tylko złotówki, lecz także dolary czy funty.

To że przeciętny zjadacz chleba dokładnie analizował każdy wydatek było rzeczą normalną, jednak podobnie zaczęły postępować także władze, dla których cyfry w ogólnonarodowym bilansie nabrały realnego znaczenia. Można też z dużym prawdopodobieństwem założyć, że wpisywane w rubryczki dane nie były wysysane z palca, a przynajmniej w znacznie mniejszym stopniu niż wcześniej. Na większą wiarygodność analiz z okresu rewolucji międzypaździernikowej mieli też nie miały wpływ ludzie je zlecający, przeprowadzający i nad nimi czuwający. Nowe instytucje, jak np. powołana w grudniu 1956 r. Rada Ekonomiczna przy Radzie Ministrów (zasiadali w niej ekonomiści tej miary co Oskar Lange, Michał Kalecki czy Czesław Bobrowski), nie starały się przypodobać władzy, lecz mając — przynajmniej początkowo — nadzieję na rzeczywistą sanację gospodarki, niemożliwą bez prawdziwych danych, walczyły o „demokratyzację” i jawność także na tym odcinku. Rada porywała się też na przedsięwzięcia pionierskie, jak np. próbę oceny skali nielegalnych dochodów obywateli². Z drugiej strony Główny Urząd Statystyczny przeprowadził dawno zarzucone analizy budżetów rodzinnych, zdając sobie sprawę, że bez ich znajomości jakakolwiek skuteczna polityka finansowa (np. cen) jest skazana na porażkę³.

Ministerstwo Finansów podejmowało rozpaczliwe wysiłki zbilansowania budżetu i niedopuszczenia do inflacji. Nie była ona jedynie wygodną wymówką władzy, ale groźbą całkiem realną po tym, jak od połowy 1956 r. za pomocą strumienia pieniędzy zaczęto gasić tłący się społeczny pożar. Jak bywa w takich sytuacjach, ogień został tylko przytłumiony i przy silniejszym podmuchu — a Październik nie był przecież lekką bryzą — wybuchł ze zwielokrotnioną siłą. Na tle powszechnej biedy podwyżki przyznane bezpośrednio po poznańskim czerwcu mogły się wydawać, zwłaszcza statystycznie, niebagatelne. W lipcu 1956 r. płace (ogółem) były o 18% wyższe niż w lipcu 1955 r., w sierpniu o 21%, we wrześniu o 22%, w październiku o 25%, a w listopadzie już o 30%. Dopiero w grudniu tempo wzrostu obniżyło się do 27%. Ogółem w 1956 r. fundusz płac wzrósł dwukrotnie w stosunku do zamierzonej wysokości, do 107,2 mld zł (z 91 mld w 1955 r.),

² Szara strefa Października. „Notatka” o nielegalnych dochodach w Polsce 1956–1957, oprac. J. Kochanowski, PH, t. XCV, 2004, z. 1, s. 77–96.

³ W. Tycner, *Budżet rodziny*, „Trybuna Ludu” [dalej: TL], 13 czerwca 1957; *Pierwsze rezultaty badań budżetów rodzinnych*, ibidem. Cf. Biuletyn Statystyki Warunków Bytu, nr 1, 1957; S. Akiński, *Uwagi o badaniach budżetów rodzinnych przez GUS*, „Przegląd Zagadnień Socjalnych”, nr 12, 1957. Nie bez powodu Michał Kalecki zastrzegł na posiedzeniu Rady Ekonomicznej 1 czerwca 1957, że od znajomości dokładnego „bilansu wydatków i dochodów ludności” powinna być uzależniona cała polityka cen; AAN, Urząd Rady Ministrów [dalej: URM], 22/11, Stenogramy posiedzeń Komisji Przeglądu RE, k. 70.

oprócz tego wzrosły świadczenia socjalne i dochody wsi. Tej ostatniej — o prawie 8 mld złotych zarówno dzięki podwyżce cen skupu oficjalnego, jak i zmniejszeniu rozmiarów dostaw obowiązkowych, co pozwalało większą niż dotychczas część produkcji sprzedać na wolnym rynku⁴.

Sytuacja, w której wszyscy pracujący byliby zadowoleni z podwyżek, nie istnieje, a niezadowolonych i sfrustrowanych jest zazwyczaj więcej niż usatysfakcjonowanych. Podobnie było w drugiej połowie 1956 r. Nic dziwnego, gdyż ok. 2 mln pracowników dostało spore podwyżki, tyle samo — niewielkie, a 3 mln nie dostało nic. „Ludzie ci — zauważano na posiedzeniu Rady Ekonomicznej — czasami stykają się w jednej branży, a nawet jednym przedsiębiorstwie. Niewiele jest takich gałęzi jak górnictwo, gdzie można mówić o generalnej podwyżce obejmującej wszystkich”⁵. Było oczywiste, że rozbujana fala roszczeń, przy niestabilnej sytuacji wewnętrznej, wzrastającej konsumpcji, osłabionej władzy i jednocześnie poczuciu siły społeczeństwa i znacznym potaniu odwagi, przeleje się na rok 1957. Z góry zakładano, że fundusz płac wzrośnie o kolejnych 7 mld złotych (do 114 mld), do czego trzeba było doliczyć m.in. 4 mld na regulację płac (w tym 3 mld dla górników), na miliard oceniano wzrost zasiłków rodzinnych, obniżka podatków od wynagrodzeń miała kosztować ok. 300 mln, na 400–700 mln zł szacowano zaś wypłaty z funduszu zakładowego, jednej z trudnych do skontrolowania szczelin, którymi pieniądze wyciekały na rynek⁶.

Takich niebezpiecznych odcinków było znacznie więcej. Na przykład od początku lat pięćdziesiątych rosło zadłużenie państwowego pracodawcy wobec zatrudnionych. Na dług składały się niewypłacone ekwiwalenty za deputaty czy godziny nadliczbowe, zwłaszcza pracownikom umysłowym, nierespektowanie zwrotu części podatku od wynagrodzeń (przodownicy pracy mieli teoretycznie 30% ulgi), niewypłacanie premii, wyrównań dla lekarzy za dyżury czy dla robotników za pracę w niedziele⁷. O 1 lipca 1953 do 1 listopada 1956 oszczędnie liczony dług urósł do astronomicznej sumy ok. 9 mld zł, a gdyby doliczyć do niego np. narzucane przez władze (i nieopłacane) zmiany norm czy roszczenia majątkowe, których katalizatorem był Październik (np. za skonfiskowany majątek),

⁴ AAN, URM, 22/9, Stenogram z posiedzenia RE 26 lutego 1957, k. 14–19; ibidem, 22/16, Spotkanie ekonomistów z RE, 8 maja 1957, k. 16; *Place w 1957 roku. Narady w Komitecie Centralnym PZPR*, TL, 15 lutego 1957.

⁵ AAN, URM, 22/16, Spotkanie ekonomistów z RE, 8 maja 1957, k. 11.

⁶ AAN, URM, 22/9, Stenogram z posiedzenia RE 26 lutego 1957, k. 14–19; *Place w 1957 roku. Narady w Komitecie Centralnym PZPR*, TL, 15 lutego 1957. Kolejną dziurą, przez którą przeciekały pieniądze na rynek, były trudne do skontrolowania wypłaty dla gospodarki nieuspołecznionej, w 1957 r. dwukrotnie wyższe niż w 1956 r.; AAN, Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej [dalej: KC PZPR], 237/V–252, Sekretariat KC, narada na temat aktualnej sytuacji, 10 lipca 1957, k. 35.

⁷ AAN, Kancelaria Sejmu [dalej: KS], 146, Komisja Pracy i Spraw Socjalnych, 18 marca 1957, k. 110.

mógłby się zwiększyć wielokrotnie. Nie próbowano go nawet z grubsza szacować, gdyż spłacenie i tych „zaledwie” dziewięciomiliardowych roszczeń groziłoby „inflacją i całkowitym rozprężeniem naszej gospodarki, której stan jest przecież daleki od prawidłowości”⁸.

Trudno powiedzieć, czy już jesienią 1956 r. planowano definitywne umorzenie długu, zdawano sobie jednak sprawę, że w napiętej sytuacji taka decyzja byłaby kolejnym kijem wetkniętym w mrowisko. Wybrano rozwiązanie kunktatorskie i uspokajające. Korzystając z olbrzymiego kredytu zaufania, jakim była obdarzona nowa ekipa, 19 listopada 1956 sejm przyjął ustawę z jednej strony generalnie potwierdzającą zasadność roszczeń, z drugiej — wstrzymującą na cztery miesiące ich realizację i działalność komisji rozjemczych⁹. Pewne stwierdzenia ustawy mogły budzić niepokój, zwłaszcza dopiero planowane określenie przez rząd, które z roszczeń zostaną uznane za słuszne i jak będą spłacane. Kierownictwa zakładów przemysłowych czy szpitali znalazły się między Scyllą przepisów a Charybdą strachu, zarówno o własne portfele, jak i przed buntem pracowników, których na przełomie 1956 i 1957 r. nietrudno było skłonić do wiecu, strajku czy usunięcia kierownictwa (a czasami wywiezienia dyrektora na taczce). Reakcja wierzycieli — w tym przypadku olbrzymiej części społeczeństwa — przez władze określona jako „orgia wypłat najróżniejszych roszczeń, przeważnie dla ludzi najmniej pokrzywdzonych”, była jak najbardziej zrozumiała¹⁰. Powszechnie próbowano obejść nowe przepisy, wypłacając należności z pominięciem banków, korzystając z funduszy na inne cele niż płace, np. z targu czy ze środków przeznaczonych na zakup surowców. W sumie na przełomie 1956 i 1957 wypłacono ok. miliard zaległych roszczeń¹¹. Jak się okazało, odważni znowu wygrali, były to bowiem jedyne środki, które udało się odzyskać. Jeszcze przed upłynięciem czteromiesięcznego terminu obowiązywania ustawy zaczęto się bowiem zastanawiać, jak wybrnąć z niebezpiecznego zaułka. Kwestię radykalnie rozwiązano ustawą z 22 marca 1957 o umorzeniu zaległych roszczeń¹². W tym momencie władza była już na tyle silna, że mogła zarówno nie podawać w dokumencie powodów i wyłącznie stwierdzić fakt, jak i nie przejmować się wywołaną tą decyzją ostatnią falą popaździernikowych strajków latem i wczesną jesienią 1957 r.

⁸ Wiceprezes NBP o konieczności przestrzegania dyscypliny płacy przy regulowaniu żądań pracowników, „Głos Pracy” [dalej: GP], 7 grudnia 1956.

⁹ Ustawa o uregulowaniu zaległych roszczeń dodatkowych ze stosunku pracy, „Dziennik Ustaw”, 1956, nr 53, poz. 239.

¹⁰ AAN, KS, 146, Komisja Pracy i Spraw Socjalnych, 18 marca 1957, k. 103v.

¹¹ Ibidem, k. 94.

¹² „Dziennik Ustaw”, 1957, nr 15, poz. 76.

„KAŻDY CHCE JAKOŚ ŻYĆ”

Choć była to decyzja bolesna, to wtedy, przy olbrzymiej i stale powiększającej się ilości gorącego pieniądza (na początku 1957 r. nie znajdowało pokrycia w towarach 2,5–3 mld zł i suma ta wykazywała raczej tendencję rosnącą), władze postrzegały ją jako jedyną możliwą. Nie bez powodu wicepremier Piotr Jaroszewicz zauważył w marcu 1957 r., że „przywrócenie praworządności wymaga pewnych ofiar oraz ogromnych środków finansowych”¹³. Władze podkreślały oczywiście nie tyle ofiary ponoszone przez społeczeństwo, ile przez państwo, które środki na zaplanowane podwyżki płac i zasiłków rodzinnych musi wygospodarować, zmniejszając nakłady na inwestycje, obronę czy administrację¹⁴. Skala podjętych działań była rzeczywiście szeroka. Kontynuowano odchudzanie armii i administracji (w tej ostatniej skasowano ponad 31 tys. etatów, co dało 425 mln zł), zablokowano wydatki i dotacje budżetowe (ponad 1160 mln zł oszczędności), rozwój loterii liczbowych miał dać 1,2 mld, przeliczenie na gotówkę zaległych dostaw mleka — 175 mln. Liczono, że siłę nabywczą wsi ograniczy podwyżka cen za usługi POM (120 mln), drewna, nawozów i maszyn rolniczych, w miastach zaś — artykułów luksusowych (kryształy, meble, dywany, samochody, futra) czy alkoholu. Budżet miały także ratować sprzedaż zbędnych zapasów i urzędzeń, zmiana kursu dewiz, nowe formy oszczędzania, skuteczniejsze ściąganie zaległości podatkowych i niepodatkowych (czynszów, opłat), urealnienie opłat za przedszkola, kolonie czy lecznictwo, podniesienie taks notarialnych i skarbowych, przeciwdziałanie nadużyciom wymierzone przede wszystkim w sektor prywatny, zmiana polityki podatkowej i zaostrzenie kontroli nadmiernych zysków¹⁵.

Jednak nawoływanie do dalszych ofiar było mało skuteczne. Społeczeństwo polskie chciało odreagować nie tylko okres stalinizmu, lecz także całą epokę po 1939 r. Było zresztą pod tym względem podobne do olbrzymiej części społeczeństw europejskich wchodzących w okres coraz bardziej wyrafinowanej konsumpcji. Polacy, podobnie jak Brytyjczycy czy Niemcy, nie chcieli już oszczędzać, lecz wydawać, nie tylko przeżyć, lecz także użyć. Również nowe formy oszczędzania, szeroko propagowane przez polskie władze jako sukces ich nowej polityki pieniężnej, służyły w ostatecznym rozrachunku konsumpcji. Fakt, że „PKO zwyciężyła pończochę” był świadectwem zarówno racjonalnego spojrzenia na rzeczywistość, postępujących przemian modernizacyjnych, jak i niemałych obaw. Statystycznie wyglądało to niezłe — jeżeli w Warszawie na kontach oszczędnościowych było w 1954 r. 208 mln zł, to tylko w 1957 r. lokaty przyrosły o 550 mln, do 1070 mln zł (22% „oficjalnych” oszczędności całego kraju).

¹³ Ibidem, k. 103v.

¹⁴ GP, 23/24 marca 1957.

¹⁵ AAN, Ministerstwo Finansów, 6/1, Ocena sytuacji finansowej kraju 1957.

Dyrektor warszawskiego oddziału PKO Adam Przewłocki mówił dziennikarzowi „Życia Warszawy”: „Po prostu coraz więcej ludzi uczy się szanować pieniądze i racjonalnie nimi gospodarować”¹⁶. Nie były to jednak oszczędności na czarną godzinę, lecz nastawione na bardziej wyrafinowane spożycie. Do tego dopasowano zresztą zasady oszczędzania, proponując klientom „książeczki docelowe” na zakup np. samochodów czy motocykli (tylko w Warszawie założono ich w 1957 r. ok. 24 tys.)¹⁷. Wprowadzone w czerwcu 1957 r. tzw. książeczki mieszkaniowe nie gwarantowały wprawdzie szybkiego otrzymania własnego lokum (podobnie zresztą jak samochodowe własnego pojazdu), ale dawały szansę — po kilku latach systematycznych wpłat — na pomoc kredytową ze strony państwa na np. budowę własnego domu czy mieszkania. Do końca lutego 1958 r. założono w całym kraju 3711 takich książeczek, z 20 mln zł wkładów¹⁸. Symbolem nowoczesności i finansowej otwartości było wprowadzenie nie tyle książeczek samochodowych czy mieszkaniowych, ile na hasło lub okaziciela. Trudno powiedzieć, czy stworzono je z myślą o szybko rosnącej grupie ludzi naprawdę zamożnych, czy tylko zostały przez nią szybko zaadaptowane. Nic dziwnego, pozwalały bowiem na stosunkowo bezpieczne przeprowadzanie dużych transakcji przy jednoczesnym zachowaniu anonimowości¹⁹.

Opinię warszawskiego dziennikarza wyrażoną w listopadzie 1957 r. w słowach: „od lat posiadam książeczkę PKO — ale tak naprawdę zacząłem korzystać z niej dopiero w tym roku. Przyznam, że poratowała mnie od tego czasu nieraz, a przy tym uchroniła już kilkakrotnie przed nieprzemysłanymi, i co tu dużo mówić, lekkomyślnymi wydatkami”²⁰, można interpretować niejednoznacznie. Z jednej strony sytuacja taka była przejawem błyskawicznych przemian modernizacyjnych, których usługi bankowe, pozwalające rozsądniej gospodarować pieniędzmi, są jednym z istotnych aspektów. Z drugiej — zwiększone wpłaty były spowodowane brakiem poszukiwanych artykułów i obawą przed przetrzymywaniem większej gotówki w domach, wywołowaną przede wszystkim wciąż żywym wspomnieniem rabunkowej wymiany pieniędzy z jesieni 1950 r. Tym bardziej, że plotek o podobnej akcji nie brakowało również na przełomie 1956 i 1957 r. Na przykład wiosną 1957 r. „w Krotoszynie pod bank podjechały dwie ciężarówki [...] może z cegłami, może z czymś innym i w ciągu dwóch godzin wykupiono do ostatniego kilograma cały towar jaki był, a więc cała ludność wiedziała, że będzie wymiana pieniędzy, bo te dwie ciężarówki przyjechały z nowymi banknotami”²¹.

¹⁶ R. Augustyniak, *PKO zwyciężyła północzochę*, „Życie Warszawy” [dalej: ŻW], 29 listopada 1957.

¹⁷ *Ibidem*.

¹⁸ „Słowo Powszechnie” [dalej: SP], 18 marca 1958; TL, 7 maja 1957.

¹⁹ R. Augustyniak, *PKO zwyciężyła północzochę*.

²⁰ *Ibidem*.

²¹ AAN, URM, 22/16, Spotkanie ekonomistów z RE, 8 maja 1957, k. 50.

Widoczne zmiany sposobów oszczędzania były odbiciem zarówno nowych aspiracji konsumpcyjnych, jak i polityki władz wobec nich. Chociaż globalna podwyżka cen wszystkich artykułów konsumpcyjnych i usług, łącznie z tymi codziennego użytku, zwiększałyby szanse — w dłuższym czasie — na skuteczną reformę gospodarczą, to nowa ekipa bała się tak radykalnego kroku. Jak komentowano na początku 1958 r.:

W sprawie cen na Biurze Politycznym ostro krytykowano pewne tendencje części towarzyszy w kierownictwie gospodarczym w kraju rozwiązywania wszystkich swoich kłopotów przez podwyżkę cen. Uznano za ważne utrzymanie na dotychczasowym poziomie cen decydujących o poziomie utrzymania ludności. Uznano za konieczne, żeby Rada Ministrów opracowała wykaz artykułów, które stanowią o poziomie kosztów utrzymania i w których należy utrzymać sztywne ceny. Uznano, że każdy wniosek o podwyżkę, za wyjątkiem absurdalnych pewnych cen, na artykuły konsumpcyjne może być rozpatrywany tylko wtedy, jeżeli temu będzie odpowiadał równocześnie wniosek w sprawie obniżenia cen innego artykułu²².

Tym samym podwyżka cen deficytowych przetworów owocowo-warzywnych czy artykułów włókienniczych była możliwa pod warunkiem obniżki cen np. ryżu. Natomiast nie widziano problemu w „elastycznym” cenowo traktowaniu towarów luksusowych, zwłaszcza z importu, oraz rozrywek, np. biletów kinowych²³.

„Drenażowi” zasobów pieniężnych obywateli (pojęcie to zrobiło na początku 1957 r. błyskawiczną karierę) miała na dłuższy dystans służyć nowa polityka mieszkaniowa, zarówno udział społeczeństwa w kosztach budowy mieszkań, do tej pory finansowanych praktycznie wyłącznie przez państwo, jak i szersze przyzwolenie na budownictwo jednorodzinne²⁴. Takie rozwiązanie potrzebowało jednak czasu, co pokazała stosunkowo niewielka liczba zakładanych księżeczek mieszkaniowych, a zliberalizowanie polityki mieszkaniowej napotykało na barierę braku materiałów budowlanych, mimo drastycznego podwyższenia ich ceny, prowadząc do masowych kradzieży, rozwoju korupcji i nepotyzmu. Narzędziem do uszczuplania portfeli, które można było zastosować najszybciej, stały się mobilniejsze wznaczniki luksusu, przede wszystkim samochody, pozwalające ściągnąć pieniądze od grupy najzamożniejszych. „Import samochodów często drenuje dochód — argumentował prof. Michał Kalecki — ten człowiek nie miałby na co wydać tych pieniędzy, gdyby nie kupił samochodu. Trzymałby pieniądze. Jeżeli zrobić samochody po niższej cenie dla doktora itd., określić w jakiś rozumny sposób,

²² AAN, KC PZPR, 237/V–257, Protokół z posiedzenia kierowników wydziałów KC, 11 stycznia 1958, k. 1–4.

²³ Ibidem.

²⁴ O nowej polityce mieszkaniowej po 1956 vide D. J a r o s z, *Mieszkanie się należy... Studium z peerelowskich praktyk społecznych*, Warszawa 2010, s. 226–256.

a pozatym pozwolić na podwyżkę cen, i na tej drodze ten człowiek kupi samochód, to będzie drenaż. [...] Samochody wybijają się na pierwszy plan!”²⁵.

Ceny aut radykalnie — nieraz wielokrotnie — podwyższono, np. na energo-wskiego wartburga, który w 1956 r. kosztował (na talon) 12 tys. zł, wiosną 1957 r. należało wydać już 83 tys. zł, co stanowiło sumę zaporową dla olbrzymiej większości obywateli²⁶. Jednak tych, których było stać na zakup nawet bez pomocy książeczek samochodowych, było i tak znacznie więcej niż dostępnych pojazdów. Na przykład Motozbytowi wystarczyły dwa dni na sprzedanie indywidualnym nabywcom 70 samochodów simca–aronde, mimo wysokiej ceny 125 tys. zł. Chętni na własne cztery koła byli tak liczni, że już w styczniu 1957 r. Motozbyt wstrzymał przyjmowanie wniosków na zakup importowanych małodrożowych aut, a w końcu lutego — również na krajowe warszawy. Nic dziwnego — w kolejce czekało 134 tys. zarejestrowanych podań²⁷.

Dla posiadaczy nieco zasobniejszych portfeli atrakcyjne były nie tylko samochody, co pokazuje porównanie artykułów przemysłowych sprzedanych przez państwowy handel w pierwszych półroczach lat 1955–1957.

Produkt/rok	1955	1956	1957
Pralki	10 788	26 475	58 574
Lodówki	1497	2247	4664
Telewizory importowane	—	949	1205
Telewizory krajowe	—	—	6760
Motocykle	16 260	21 365	33 994
Aparaty fotograficzne	19 173	26 796	73 656
Zegarki	98 400	198 857	324 316

Źródło: „Trybuna Ludu”, 21 sierpnia 1957.

Polacy kupili też w pierwszej połowie 1957 r. więcej o 4 mln metrów tkanin wełnianych, 2,75 mln jedwabnych, 33 mln bawełnianych, 3 mln par skórzanego obuwia. Wyraźnie zmieniło się spożycie żywności. Na stoły trafiło ponad 4500 ton tłuszczów roślinnych mniej, niewiele wzrosły zakupy zwierzęcych (smalcu i słoniny) — o 1040 ton, natomiast masła, będącego symbolem „egalitarnego” luksusu — o 9 tys. ton. Chętniej odwiedzano sklepy rzeźnicze i wędliniarskie, kupując 43,6 tys. ton mięsa i 27 tys. ton wędlin więcej. Do toreb klientów trafiło też 680 ton więcej czekolady, dwukrotnie więcej niż przed rokiem kawy naturalnej,

²⁵ AAN, URM, 22/11, Stenogramy posiedzeń Komisji Przeglądu RE, 1 czerwca 1957, k. 76.

²⁶ Herder–Institut Marburg [dalej: HIM], Komunikat nasłuchu radiowego Radia Wolna Europa, 122/1957, 2 kwietnia 1957 (Warszawa I: dyskusja o spekulacji).

²⁷ *Kupujemy więcej towarów przemysłowych*, TL, 21 sierpnia 1957.

więcej cytryn i pomarańcz. Wypito też 11 mln litrów spirytusu i wódki więcej²⁸. Pamiętajmy, że są to dane z oficjalnego handlu, bez prywatnego i nieoficjalnych kanałów dystrybucyjnych.

Gdyby tylko mogli, Polacy kupiliby znacznie więcej. Jednak w sklepach zalegały buble, brakowało natomiast towarów atrakcyjnych, spełniających rosnące oczekiwania społeczeństwa.

Przemysł nasz produkuje towary na ogół niskiej jakości oraz niemodne i nie zawsze na odpowiedni sezon — narzekano w maju 1957 r. — Na przykład obuwanie, w szczególności damskie produkcji krajowej, chociaż tanie, nie odpowiada gustom odbiorców, wzory są przestarzałe, wykonanie nieestetyczne, wąski asortyment, brak obuwia letniego, wieczorowego, fasonowego²⁹.

Jeżeli w pierwszym kwartale 1957 r. zapasy w gospodarce państwowej wzrosły o 8 mld zł, to na artykuły konsumpcyjne przypadł tylko miliard, co stanowiło połowę wzrostu z tego samego okresu poprzedniego roku. Tymczasem wartość zapasów w przemyśle wzrosła o 4,3 mld (258% wzrostu z 1956 r.). Brakowało najbardziej poszukiwanych towarów, jak np. wysokiej jakości tekstyliów i butów, na poprawę zaś, głównie z racji braku środków na import wełny, bawełny i skór (spadł eksport węgla, obniżyła się też jego cena na światowych rynkach), nie można było liczyć. W pierwszych miesiącach 1957 r. sprowadzono również tylko ok. 30% zaplanowanej ilości gotowych wyrobów³⁰. W rezultacie np. w województwie warszawskim w 1957 r. spodziewano się tylko 94% „masy towarowej” niezbędnej na pokrycie potrzeb. To był i tak dobry wynik, osiągnięty dzięki wrzuceniu do statystycznego worka wszystkich towarów, gdyż spodziewano się np. tylko 20% czekolady i 80% artykułów przemysłowych (wśród których tylko 7% miały stanowić atrakcyjne towary z importu)³¹.

Choć ceny oficjalne podstawowych artykułów utrzymywały się na względnie stabilnym poziomie, to — jak mówił 2 marca 1957 wiceprezes NBP Leopold Gluck —

przy inflacji o cenach zahamowanych pieniądź niemal przestaje być nosicielem siły nabywczej, staje się czynnikiem ubocznym. Istota zagadnienia, to talon, przydział. W tych warunkach rozdzielnictwo zastępuje handel. W tych warunkach

²⁸ Ibidem. Jak na początku maja 1957 r. zauważał Czesław Bobrowski, „podczas 4 miesięcy 1957 r. sprzedaż mięsa przez aparat państwowy wzrosła o 33%, a sprzedaż masła o 41% w porównaniu z rokiem poprzednim”; AAN, URM 22/16, Spotkanie ekonomistów z RE, 8 maja 1957, k. 21.

²⁹ AAN, Kancelaria Rady Państwa [dalej: KRP], 69/3, k. 139, Sesja Rady Narodowej m.st. Warszawy, 27–28 maja 1957.

³⁰ AAN, KC PZPR, 237/V–252, Sekretariat KC, narada na temat aktualnej sytuacji, 10 lipca 1957, k. 35–37.

³¹ AAN, KC PZPR, 237/VII–3669, Informacja o realizacji uchwały BP KC PZPR w sprawie walki z przestępstwami gospodarczymi [woj. warszawskie], 2 sierpnia 1957, k. 29.

zresztą wzrasta również znaczenie drugiego rynku nielegalnych obrotów, czarnego rynku”³².

Tak więc na sklepowych półkach zalegały buble, natomiast towar atrakcyjny zniżał natychmiast, w większości pojawiając się, po znacznie wyższych cenach, na bazarach i w sklepach prywatnych. Braki doprowadziły do rozwoju korupcji, nadużyć, kradzieży, w dużym stopniu wpłynęły na funkcjonowanie prywatnego handlu i rzemiosła.

Jak zauważał na początku maja 1957 r. Czesław Bobrowski, w przypadku artykułów lepszej jakości lub importowanych

regułą stała się praktyczna niemożność zakupywania towarów w sklepach państwowych i konieczność zaopatrywania się w Bazarze Różyckiego. [...] Szczęśliwie chodziło tu o grupę, w której akcja w najbrutalniejszym i najszybciej działającym środku, to znaczy przez podwyższenie cen do poziomu równowagi — nie napotyka na opór psychiczny. Te towary, te damskie sweterki francuskie, czy jakieś luksusowe importowane towary przy naszej stopie życiowej są konsumowane przez małą część ludności. Podniesienie cen na te towary nie oznacza zatem zmiany kosztów utrzymania typowej rodziny robotniczej. Jeżeli gdzieś to uderza w rodzinę robotniczą, to na pewno w rodzinę robotniczą o wysokim poziomie dochodu, a na pewno to będzie garstka rodzin robotniczych³³.

Fakt, że samochody, szwajcarskie zegarki czy francuskie sweterki tylko z rzadka kupowali robotnicy, nie świadczy o tym, że nie mieli takich marzeń. Z pewnością była to natomiast grupa społeczna (wśród pracujących!) najbardziej rozgoryczona i sfrustrowana pod względem zarobków, a w konsekwencji konsumpcji³⁴. Nic też dziwnego, że robotnicy stanowili chyba największy odsetek autorów listów napływających do Polskiego Radia czy KC PZPR.

Krew mnie zalewa — pisał w lipcu 1957 r. do radia robotnik z Białegostoku, niebędący w stanie odłożyć wystarczającej sumy na meble — czytając końcowe zdanie bezdusznego uzasadnienia, że obecna zwyżka cen materiałów ugodziła spekulanta i obszarnika. Speculanci i obszarnicy posiadali domy już sporo lat, mają w nich urządzenia luksusowe, jeżdżą własnymi „Warszawami”, ja zaś jestem tym spekulantem. [...] Nic nie mówię, że podróżowały samochody, motocykle, ale żądam odwołania zwyżki cen na materiały i odzież zimową”³⁵.

³² AAN, URM, 22/9, Stenogram posiedzenia RE, 2 marca 1957, k. 109.

³³ AAN, URM, 22/16, Spotkanie ekonomistów z RE, 8 maja 1957, k. 18–19.

³⁴ Czasami z nostalgią wspomniano okres przedwojenny, kiedy „starczyło pracownikowi na 1 parę butów i 1/4 litra wódki za jedną dniówkę, a dziś niestety tak nie jest”; AP Gdańsk, Oddział w Gdyni [dalej: APG OG], Komitet Miejski PZPR w Gdyni, 468, Protokół z zebrania POP PZPR w Rejonie nr 2 Portu Gdynia, 9 lipca 1957.

³⁵ AAN, KC PZPR 237/XXV–24, Biuletyn listów 42 z 16 sierpnia 1957.

W tym samym czasie skarżył się mieszkaniec Kutna:

My robotnicy już nerwowo nie możemy wytrzymać w związku ze zwyżką cen. U nas przedmioty luksusowe to są: buty, futra, chodniki, narzuty pluszowe itd. A w Ameryce to samochody nie są luksusem, bo każdy robociznik ma piękną limuzynę. Jak nazywacie luksusem dywany czy też chodniki, to dążycie do tego, żebyśmy sypiali na piecach i spali na glinie, tak jak mieszkają chłopci w Rosji. Zambrowski powiedział w Łodzi, żeby robotnicy pilnowali złodziei. Jak może pilnować złodziej złodzieja, bo my wszyscy kradniemy, a kraść będziemy dopóki nam wstrętni komuniści nie podwyższą płacy³⁶.

Ostatnie zdanie w pewnym stopniu odpowiada na pytanie, skąd nie mała w końcu część społeczeństwa, pracującą na państwowych lub spółdzielczych posad(k)ach stać było nagle na coraz bardziej wyrafinowaną — a tym samym droższą — konsumpcję³⁷. Odpowiedzi nie znajdzie się raczej we wspomnianej wcześniej analizie budżetów rodzinnych przeprowadzonej na przełomie 1956 i 1957 r. przez GUS, w której, jak w bilansie dobrego księgowego, idealnie zgadzają się rubryki przychodów i wydatków. Z jednej strony przeanalizowano bowiem stosunkowo niewielką liczbę rodzin zarówno robotniczych, jak i pracowników pionu inżynieryjno-technicznego i administracji w górnictwie, hutnictwie, przemyśle maszynowym i włókienniczym. Z drugiej — choć nie powinno się wątpić w rzetelność zastosowanej metodologii — opierano się na danych przekazywanych przez poszczególne rodziny. O ile też — jak można przypuszczać — wydatki były notowane skrupulatnie, o tyle nie ma gwarancji, że podobnie postępowano z dochodami, zwłaszcza nie do końca legalnymi. Tymczasem były one, również w rodzinach robotniczych, niemałe — zarówno w postaci dodatkowego zarobku u prywatnego najczęściej wytwórcy³⁸, jak i „drenowania” własnego zakładu pracy za pomocą fuch czy kradzieży.

³⁶ Ibidem.

³⁷ Charakterystyczne, że jesienią 1956 r. czytelnicy proponowali w listach do gazet ponowne otwarcie lombardów, „sugerując, że możliwość zastawienia wartościowych przedmiotów rozwiązałaby w poważnym stopniu kłopoty materialne ludzi pracy” (GP, 232, 1956). Redakcja poważnie potraktowała sygnał, kontaktując się z Ministerstwem Finansów, które jednak nie widziało takiej możliwości. Ministerialni urzędnicy wątpili, czy ludzie pracy rzeczywiście by z nich korzystali, wszak pożyczek udziela się pod zastaw cennych ruchomości — biżuterii, futer czy dzieł sztuki — których nie posiadają. Do tego ta forma uzupełnienia domowego budżetu „niewątpliwie pogębiałaby ich trudną sytuację finansową, szczególnie przy zbiegu terminów płatności pożyczek lombardowych i spłaty zadłużenia w pracowniczych kasach zapomogowo-pożyczkowych”; GP, 30 grudnia 1956.

³⁸ Prywatny pracodawca najczęściej płacił lepiej niż państwowy. W rezultacie np. w Lubelskiem państwowe cegielnie narzekały na brak pracowników, ponieważ ci uciekali do prywatnych wytwórców, u których za tysiąc sztuk cegły dostawali 100 zł, trzy razy więcej niż w zakładach państwowych. AP Lublin [dalej: APL], Komitet Powiatowy PZPR w Lublinie, 31, Protokół z rozszerzonej narady Plenum KP PZPR w Lublinie, 12 września 1957, k. 85.

Zjawisko typowe dla nie tylko polskiej i nie tylko socjalistycznej gospodarki, polegające na wydawaniu więcej, niż wynosiły oficjalne zarobki, nabrało w sprzyjających warunkach „rewolucji międzypaździernikowej” niespotykanych wcześniej — jak należy przypuszczać — rozmiarów. Trudno oczywiście określić skalę wzrostu, gdyż dopiero w 1957 r. zaczęto badać problem zarówno w skali mikro, jak i makro. Na początku 1958 r. do Radomia wybrała się ze stolicy partyjna komisja z zamiarem zbadania m.in., dlaczego to miasto miało opinię najbogatszego w Polsce. Przeanalizowano również zarobki i wydatki radomian, dochodząc do charakterystycznych wniosków, choć chyba niezbyt odkrywczych: oficjalne dochody jego mieszkańców wyniosły w 1957 r. 1294 mln zł, wydatki zaś — 1633 mln. Należy podkreślić, że przy „wydatkach” uwzględniono wyłącznie te dokonane na miejscu oraz oszczędności w lokalnych bankach!³⁹. To, że Radom nie był bynajmniej wyjątkiem, pokazywała szacunkowa i z pewnością niepełna ocena nielegalnych dochodów Polaków w 1956 i pierwszym kwartale 1957 r. przeprowadzona na zlecenie Rady Ekonomicznej. Tylko dochody z kradzieży, łapownictwa, samowolnego podnoszenia cen, nadużyć w funduszach płac, nielegalnego handlu (np. dewizami czy artykułami z paczek zagranicznych) oceniono na 26,66 mld zł — 21,4 w 1956 i 5,26 mld w 1957 r. Tylko za 1956 r. stanowiło to ok. 1/5 całego funduszu płac i 1/12 całego dochodu narodowego! Jednocześnie autorzy analizy mieli świadomość, że są to tylko szacunki, najprawdopodobniej znacznie zaniżone⁴⁰.

„Robienie” pieniędzy w (po)październikowej Polsce przypominało dobrze jeszcze przecież pamiętane pionierskie czasy bezpośrednio po wojnie. Bazowało na głodzie konsumpcyjnym (choć oczywiście o innym obliczu niż w 1945 czy 1946 r.), dziurawym prawie oraz osłabionej władzy pozwalającej bardziej obrotnym, kreatywnym i odważnym działać stosunkowo bezpiecznie. Zwłaszcza że posiadali oni — do czasu — przyzwolenie zarówno ze strony części elit politycznych, też niestroniących od dodatkowego zarobku, jak i społeczeństwa. To zaś czuło się w swoich balansujących na granicy prawa (lub często poza nim) działaniach w dużym stopniu usprawiedliwione. Głoszona na każdym kroku „demokratyzacja” łączyła się bowiem w zbiorowych wyobrażeniach obywateli nie tylko z partycypacją polityczną, lecz także — a może przede wszystkim — grubszym portfelem, pełniejszą spizarnią i wyższym standardem życia. Kiedy nowe władze nie były w stanie tego zapewnić (a wręcz odwrotnie, jeszcze odmówiły spłaty starych długów!), brano sprawy we własne ręce. Zwłaszcza, że władza nie tylko przejściowo osłabła, lecz także początkowo wręcz sama zachęcała do samodzielności i kreatywności.

³⁹ AAN, KC PZPR, XI/281, k. 25–26.

⁴⁰ *Szara strefa Października*. Własne „studium zarobków i dochodów nie wynikających z uposażeń” miała również prowadzić Komenda Główna MO. Trudno ocenić na ile wiarygodne są wyniki tych badań, według których w Warszawie w pierwszym półroczu 1957 r. ponad 1300 osób zarabowało miesięcznie ponad 100 tys. zł, ok. 3000 — 50–100 tys., a ok. 4800 — 20–50 tys. zł; HIM, P-50, Item No. 5377/57, Legal and illegal earnings: regime plans move against fraud.

Choć własne sklepy czy warsztaty otworzyła ostatecznie tylko niewielka część obywateli, to w całym społeczeństwie zostały przełamane dotychczasowe bariery, zarabianie i wydawanie, bogactwo i bieda przestały być tematem tabu obarczonym strachem i obawą. „Janek Bądkowski — zapisał 22 grudnia 1956 w dzienniku Jan Józef Lipski — ma już podobno koncepcję zrobienia teraz dużej forsy. Twierdzi, że powstała dobra koniunktura do tego”⁴¹. Już nie „być”, a „mieć” sta(wa)ło się ogólnie obowiązującym imperatywem każdej grupy społecznej — od chłopów i robotników po elity intelektualne, o partyjnych już nie wspominając. Znani aktorzy nie wstydzieli się nawet najbardziej szmirowatych występów, a członkowie aparatu państwowego, zarówno gospodarczego, jak i politycznego, doskonale odnaleźli się w nowych warunkach, błyskawicznie dostosowując i rozwijając stare oraz wypracowując nowe techniki drenowania państwa i obywateli.

W społeczeństwie w ogóle jest taka atmosfera — narzekał uczestnik narady pierwszych sekretarzy Komitetów Wojewódzkich — że[by] łapać co można, wzbogacić się trochę, poprawić swoją materialną sytuację . [...] Zakłada się hodowle, np. nor[ek], robi to aktywista partyjny. I poprzez te norki on jest wciągany jak po trybie w różne machinacje. Ja rozmawiałem dwa dni temu z jednym towarzyszem, który miał zamiar założyć te norki, mówię mu nie zakładaj tych nerek, bo nie to, że[by] upaństwowili, bo [...] te norki cię wciągną w brzydką aferę i będzie trzeba sięgnąć może nawet i po legitymację. Bo to się z tym wiąże dostawa mięsa, z dostawą mięsa wiąże się kombinacja w tym przedmiocie i to idzie coraz dalej. Powiada — przecież towarzyszu [...] ja nie będę ani kradł, ani nic. Norka kosztuje 4.000 zł dlatego ja mam nie zarobić na tym jak można i znam się na tej hodowli?⁴².

Skutecznie wykorzystywano niejasne przepisy normujące relacje między sektorami państwowym, spółdzielczym i prywatnym, korupcja osiągnęła niespotykany dotąd poziom, prowadząc nieraz do swoistej, nieukrywanej bynajmniej „prywatyzacji” państwowego majątku.

Miejskie „białe kołnierzyki” — nauczyciele, urzędnicy czy inżynierowie — musieli rozwijać inne strategie. Wydaje się, że jako przeciętny może służyć przykład warszawskiej rodziny opisany we „Frankfurter Allgemeine Zeitung” przez zachodnioniemieckiego dziennikarza⁴³. Hansjakob Stehle tylko na początku swojego pobytu w popaździernikowej Polsce zastanawiał się, jak handel znajdo-

⁴¹ J. J. Lipski, *Dzienniki 1954–1957*, oprac. i przypisy Ł. Garbał, Warszawa 2010, s. 191.

⁴² AAN, KC PZPR, 237/V–253, Stenogram narady I Sekretarzy KW, 28 września 1957, k. 139. Informacje o hodowli zwierząt futerkowych przez członków peryferyjnych elit nadchodziły z całego kraju, od Lubelszczyzny po Pomorze; APL, KP PZPR w Lublinie, 31, Protokół z rozszerzonej narady Plenum KP PZPR w Lublinie, 12 września 1957, k. 85; AAN, KC PZPR, 237/XXXII–14, k. 35–36, Protokół z posiedzenia Wojewódzkiego Zespołu do Walki z Nadużyciami i Korupcją w Gdańsku, 14 maja 1958.

⁴³ H. Stehle, *Die Furcht darf nicht wiederkehren*, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, 18 stycznia 1958.

wał klientów gotowych wydać „pół pensji na parę butów, niespecjalnie zresztą eleganckich, czy całą wypłatę miesięczną za kupon materiału na garnitur (sześćdziesięcioprocentowa wełna)”. Poznawszy historię inteligentnego małżeństwa Jana i Joanny, przestał się dziwić. Na maszynie przysłanej z Anglii przez rodzinę produkowali wieczorami w mieszkaniu na warszawskim Muranowie swetry i bawełniane pończochy z kupowanej w komisach włóczki. Jak żartowali, dziergając codziennie jeden sweter i dwadzieścia par pończoch, realizują postawione przed inicjatywą prywatną zadanie „wypełniania luk”, co dawało — jak sami przyznawali — „szerokie pole manewru, gdyż [polska] gospodarka zasadniczo składa się z luk”.

Działanie na krawędzi legalności zmuszało jednak do stałego lawirowania. Kiedy administracja, dowiedziawszy się o „kapitalistycznym” warsztaciku, chciała dziesięciokrotnie podwyższyć czynsz za ich małe mieszkanie, Jan zatrudnił się jako pomocnik w spółdzielni dziewiarskiej, co dla urzędników z administracji legitymizowało ich w rzeczywistości w dalszym ciągu nielegalną wieczorną produkcję. Praca całej rodziny (w tym córek w wieku przedszkolnym) powiększała miesięczne dochody o 5 tys. zł, czyli dyrektorską pensję. Pozwalało to zarówno na lepsze wyposażenie mieszkania, jak i żywnościowe zakupy w „Delikatesach”, niekoniecznie polskiej produkcji odzież i co jakiś czas wyprawę z przyjaciółmi do którejś ze znanych warszawskich knajp — Bristolu, Kameralnej czy Krokodyla. Wydaje się, że Jan i Joanna nie stanowili wyjątku, liczba reklam zaś zamieszczanych w polonijnej prasie przez firmy handlujące maszynami dziewiarskimi, mającymi dać utrzymanie rodzinie w kraju, nie malała przez cały rok 1957⁴⁴.

„SPRAWA POLITYCZNA I SPRAWIEDLIWOŚCI SPOŁECZNEJ”

Można chyba zaryzykować tezę, że także dzięki takim domowym warsztacikom wykluwała się z popaździernikowych przemian nowa klasa średnia. Mało kto zdawał sobie wtedy z tego sprawy, a proces tworzenia się grupy zamożniejszej, o bardziej sprecyzowanych i ukierunkowanych preferencjach konsumpcyjnych zazwyczaj budził krytyczne opinie zarówno władz, jak i środowisk nienależących do beneficjentów nowych czasów.

Robotnik może wskazać na tworzące się fortuny spekulantów wiejskich i miejskich. — zauważał 1 czerwca 1957 Kalecki — To nie jest zjawisko odosobnione,

⁴⁴ Na początku 1958 r. stwierdzano podczas narady w KC, że nielegalna produkcja dziewiarska, na sprowadzanych z zagranicy maszynach i z kradzionego surowca, jest olbrzymia. Jako że w prywatnym sklepie sweter z takiej produkcji kosztował do 1150 zł, a najdroższy produkcji państwowej ok. 400, nieoficjalni wytwórcy „prują państwową produkcję, przerabiają i oficjalnie sprzedają po 1150 zł”; AAN, KC PZPR, 237/XXXII-8, Protokół narady w KC Zespołu Centralnego do Walki z Nadużyciami i Korupcją, 4 stycznia 1958, k. 97.

to nie jest tylko spekulacja w ścisłym tego słowa znaczeniu. [...] Ja bym nawet powiedział, że na naszych oczach tworzy się nowa klasa średnia, na dość masową skalę, nie jakieś podziemie spekulancie, ale duża część personelu sklepowego, która na odprowadzaniu towarów deficytowych do prywatnej inicjatywy, do pośredników czy na bazy, dorabia się poważnych środków. Są różne przykłady. Słyszy się o tym, że jakaś sklepowa ofiarowuje 200 tys. zł odstępnego za mieszkanie itd. Te rzeczy są wszystkim znane.

Powiedzieć, że nie można więcej płac regulować jak na 10%, a jednocześnie pozwalać na tworzenie się takich fortun, to jest sytuacja, mówiąc łagodnie, bardzo nieprzyjemna. To uważam za rzecz najważniejszą. Sam fakt, że to jest przywłaszczenie sobie dochodów jest też rzeczą niedopuszczalną. Ta sprawa polityczna i sprawiedliwości społecznej jest może jeszcze ważniejsza⁴⁵.

Rzeczywiście nie tyle ekonomia, pieniądze czy nawet ewidentne straty państwa powodowane przez przestępczość gospodarczą, ile właśnie owa „sprawiedliwość społeczna”, jedna z najważniejszych zdobyczy opisanej przez Andrzeja Ledera, trwającej od 1939 r. egalitarnej „prześnionej rewolucji”⁴⁶, skłaniała do zajęcia się „niesprawiedliwą” nową klasą średnią. O ile też władze mogły przystać na „ludowe” fuchy, malwersacje, przekręty czy kradzieże, które zdaniem ekonomistów (m.in. Kaleckiego) stanowiły „uzupełnienie do płac”, o tyle na powstanie nowej „spekulanciej” klasy — już nie. Temu służyła coraz bardziej przykręcana prywatnej inicjatywie śruba podatkowa, weryfikacja pozwoleń na prowadzenie sklepów i warsztatów, rozdmuchiwana retoryka antyspekulacyjna, tworzenie kolejnych komisji i zespołów, przeprowadzanie spektakularnych akcji, jak chociażby łapanka na podkreślanym przez Bobrowskiego bazarze Różyckiego⁴⁷. Zwrócono też uwagę na niewydolny, dziurawy, nieprzystosowany do nowych czasów system podatkowy, który nie „wyłapywał” niemałej części dochodów wolnych zawodów. W rezultacie standard życia lekarzy, adwokatów czy artystów zaczął się wyraźnie odbijać „od stopy życiowej i od poziomu płac innych ludzi”, też wywołując sprzeciw⁴⁸.

Charakterystyczne, że instytucjonalizacja walki ze spekulacją, zmiana nastawienia do sektora prywatnego, któremu zapalono na razie żółte, ostrzegawcze światło, i pomysł głębszego zajrzenia w portfele pracujących na etatach lub przedstawicieli wolnych zawodów pojawiły się w tym samym czasie, latem 1957 r. Pogłoski o planowanym ograniczeniu miesięcznego zarobku do 15 tys. zł zaczęły się rozprzestrzeniać już w pierwszej połowie sierpnia⁴⁹. Były zasadne, choć planowana ustawa o podatku wyrównawczym trafiła pod obrady komisji sejmowej

⁴⁵ AAN, URM, 22/11, Stenogramy posiedzeń Komisji Przeglądu RE, k. 69–70.

⁴⁶ A. Leder, *Prześniona rewolucja. Ćwiczenie z logiki historycznej*, Warszawa 2014.

⁴⁷ J. Kochanowski, *Tylnymi drzwiami. „Czarny rynek” w Polsce 1944–1989*, Warszawa 2015, s. 74–89.

⁴⁸ AAN, URM, 22/11, Stenogramy posiedzeń Komisji Przeglądu RE, k. 125.

⁴⁹ „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” (Londyn), 13 sierpnia 1957.

dopiero na początku listopada 1957 r. Jak tłumaczył poseł referent Łukasz Kumor, „założeniem projektu jest złagodzenie dysproporcji w dochodach ludności oraz ograniczenie popytu rynkowego ze strony osób wysoko zarabiających. Ustawa stała się aktualna dopiero obecnie, gdyż dotychczas nie było znaczniejszej ilości osób stosunkowo wysoko zarabiających”. Zamierzano objąć nią osoby fizyczne zarabiające, po odciążeniu podatku, 96 tys. rocznie (czyli średnio 8 tys. „na rękę” miesięcznie). Ludowa sprawiedliwość miała jednak swoje granice — artyści mogli uratować większą niż inni obywatele część zarobków, pod warunkiem wpłacenia pieniędzy do banku⁵⁰. Spośród obecnych posłów wątpliwości miał tylko Stefan Kisielewski przewidujący negatywne psychologiczno–społeczne skutki ustawy. Zwłaszcza że już tylko plotki o projekcie zaowocowały likwidowaniem przedsiębiorstw prywatnych i ograniczaniem albo wręcz zaniechaniem inwestycji. Jednak argumenty ekonomiczne nie mogły już nikogo przekonać. Zresztą nie ukrywano, że nowy podatek nie przyniesie skarbowi państwa specjalnych wpływów i ma raczej charakter „społeczno–moralny”. Jak zripostował Kisiela poseł Jerzy Olszewski „ustawa jest zgodna z żądaniami ludzi żyjących z pracy rąk i mózgow”⁵¹.

„BIEDNI SIĘ TYLKO ROZUMIEJĄ”

Ustawa uchwalona 13 grudnia 1957⁵² miała istotnie znaczenie raczej społeczne i psychologiczne niż ekonomiczne i była ukłonem zarówno wobec żyjących z własnej pracy (w domyśle — gołej pensji), jak i zadośćuczynieniem wobec wyraźniej zauważanych dopiero po Październiku najbiedniejszych obywateli, którzy nieraz za owe „graniczne” 8 tys. zł musieli przeżyć cały rok. Bieda, czasami granicząca wręcz z nędzą, występowała oczywiście i wcześniej, jednak po Październiku stała się widoczniejsza na tle szybko wyrastającej warstwy zamożniejszej, wzrastającej konsumpcji, w niektórych regionach strukturalnego wręcz bezrobocia i braku sprawnego systemu opieki społecznej. Skalę problemu pokazywały prośby o pomoc wpływające do Rad Narodowych w całym kraju, a od bardziej zdesperowanych lub po prostu odważniejszych — do władz centralnych, a zwłaszcza Władysława Gomułki⁵³. Nawet biorąc pod uwagę typowy w takich przypadkach

⁵⁰ AAN, KS, 136, Komisja Planu Gospodarczego, Budżetu i Finansów, 7 listopada 1957, k. 361v.

⁵¹ Ibidem, k. 363–363v.

⁵² Dz.U. 1957, nr 62, poz. 336.

⁵³ Takie rozwiązanie mogło okazać się skuteczniejsze. Pokazał to list Marii Filipiak, żony kancelisty zatrudnionego w PKP w Kutnie, który za 1100 zł musiał utrzymać sześciuosobową rodzinę. „Drogi nasz Wodzu!!! — pisała 13 lutego 1957 do Gomułki — Przepraszam za śmiałość na jaką się odważam. Lecz od chwili gdy stanęłaś na czele Państwa i narodu jako Wódz odważny i dzielny, zrodziła się we mnie jakaś siła, która pchała mnie do Ciebie drogi Przewodniku, że Ty jeden mnie zrozumiesz i odpowiesz, gdyż biedni się tylko rozumieją. A Polska nasza jest biedna, którą zacząłeś dźwigać ku lepszym dniom. I moja rodzina jest biedna, którą ja się opiekuję — mały pionek społeczeństwa. [...] I ze wsty-

sposób argumentacji, uwypuklający aspekty negatywne, z suplik (i odpowiedzi na nie) wyłaniał się obraz smutny, miejscami przerażający. Świat staruszek żyjących ze stułotowych zapomóg, kilkusetzłotowe pensje kobiet samotnie wychowujących dzieci, długie oczekiwanie ciężko chorych i niezdolnych do pracy na przyznanie, a potem wypłacenie renty. Prośby przychodzące do Miejskiej Rady Narodowej w Gdyni były typowe dla całego kraju: Rozalia Bohdzielenko, analfabетка, wdowa, „lat około 90”, żyła z zapomogi miesięcznej w wysokości 150 zł, a małżeństwo utrzymujące się z jednej głodowej renty prosiło o dodatkową pomoc. O ile nie zachowała się decyzja w pierwszej sprawie, o tyle w drugiej była odmowna, gdyż „mąż petentki pobiera rentę w wysokości zł 429, poza tym Obywatelka ma dwoje dorosłych dzieci, które w myśl kodeksu rodzinnego zobowiązane są do alimentacji”⁵⁴. Podobnie odprawiono innego petenta, argumentując, że „pobiera rentę w wysokości zł 101 i zamieszkuje wspólnie z synem, który pracuje zarobkowo i jest kawalerem”⁵⁵. Nie wniano natomiast, ile zarabiał.

Tymczasem po przeprowadzonej w 1956 r. podwyżce najniższych uposażeń, płaca minimalna wynosiła 500 zł, czyli sumę na jaką szacowano absolutne minimum socjalne dla jednej osoby⁵⁶. Było to samo w sobie stawką głodową, a należy pamiętać, że zazwyczaj najniższe płace otrzymywały kobiety, często samotnie wychowujące dzieci. Mimo podwyżek, w 1957 r. wciąż ponad milion osób — jedna siódma wszystkich zatrudnionych w gospodarce społecznej! — zarabiała poniżej 700 zł miesięcznie (w tym ok. 220 tys. — 500 zł), a proponowane warianty reformy tak czy inaczej najniższą stawkę ustalały na poziomie 600 zł!⁵⁷

Pensje pracownicze, nawet marne, były i tak wyższe niż emerytury czy renty, zwłaszcza tzw. starego portfela⁵⁸. Spośród 1125 tys. rencistów obsługiwanych w końcu września 1957 r. przez Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej 276 tys. pobierało świadczenia na podstawie dekretu obowiązującego od 1 lipca 1954 (tzw. nowy portfel). W tej grupie przeciętna renta wynosiła 477 zł (inwalidzka

dem wyciągam rękę po jałmużnę zmuszona miłością do mych dzieci. [...] Z tych pieniędzy, co mąż przynosi gospodaruję jak najoszczędniej, ale nie wystarcza nawet na bardzo skromne życie. [...] Ze łzami proszę o jakąś zapomogę bezzwrotną, jeżeli to nie obciąży bardzo budżetu państwowego, bo wiem, że nie jest on bogaty”. Poniżej podpisu autorki dopisali się jeszcze „Jurek, Boguś, Jacuś i Stasio Filipiakowie”. Wywiad przeprowadzony przez Powiatową Radę Narodową w Kutnie pokazał, że było jeszcze gorzej, niż obrazowała autorka — wszystkie dzieci chorowały na gruźlicę. Przyznano zapomogę w wysokości 2 tys. zł; AAN, KRP, 45/6, Skargi i zażalenia 1957, k. 36–37.

⁵⁴ APG OG, Miejska Rada Narodowa w Gdyni, 1829.

⁵⁵ Ibidem.

⁵⁶ ŻW, 17 kwietnia 1956.

⁵⁷ AAN, KC PZPR, 237/XXXI–245, Notatka w sprawie poprawy warunków materialnych pracowników najniżej zarabiających, 5 października 1957, k. 12.

⁵⁸ Vide D. J a r o s z, *Emeryci i renciści w polskim systemie ubezpieczeń społecznych lat 1944–1958: sytuacja materialna i strategie przetrwania*, RDSG, t. LXXII, 2012, s. 191–226 (ibidem bibliografia zagadnienia).

423, rodzinna 433). Ale ok. 32 700 rencistów z tej grupy (11,9%) pobierało świadczenia minimalne — 150 zł dla pracującego i 260 zł dla niepracującego. Jeszcze gorsza była sytuacja 694 tys. obywateli otrzymujących renty ze „starego portfela”, gdzie listonosz przynosił co miesiąc przeciętnie 260 zł. W najgorszej sytuacji było bezsprzecznie ok. 116 tys. rencistów przedwojennych, zazwyczaj w wieku wykluczającym dodatkową pracę. Zróżnicowane były natomiast wypłaty dla 155 tys. rencistów pobierających zaopatrzenie z innych niż powyższe „portfele” tytułów. O ile inwalidzi wojenni otrzymywali przeciętnie 272 zł, „ofiary wrogów demokratycznego ustroju Polski” (OWD) oraz rodziny poległych uczestników ruchu podziemnego i partyzanckiego (URP) — 301 zł, o tyle dawni zawodowi wojskowi, funkcjonariusze służby więziennej, milicji i pracownicy bezpieczeństwa — 669 zł, a górnicy 966 zł. Utrzymywani z innego niż MPiOS źródła (Ministerstwo Komunikacji) renciści kolejowi (120,5 tys.) otrzymywali średnio po 355 zł⁵⁹.

Niezależnie więc, co wcześniej robili, olbrzymia większość rencistów otrzymywała po prostu głodowe świadczenia niegwarantujące nawet najskromniejszego minimum egzystencji. Renty nie stanowiły więc czynnika skłaniającego do porzucenia pracy i wciąż zatrudnionych było ok. 30% (208 tys.) rencistów „starego” i 46% (127 tys.) „nowego portfela”. Zakłady pracy były pełne starych, niedołężnych lub chorych ludzi, nienadających się w istocie do jakiegokolwiek pracy i tak naprawdę niepotrzebnych, których jednak trzymano ze świadomością, że zwolnienie byłoby równoznaczne z ich całkowitą pauperyzacją. Nieraz też, jak w Zakładach Urządzeń Mechanicznych w Porębie, tacy starzy ludzie „utykani na różnych nieprodukcyjnych pseudozajęciach” stanowili ok. 10% załogi⁶⁰. Było to nie tyle wyjątkiem, ile regułą — MPiOS oceniało, że w gospodarce społecznej w 1957 r. było ok. 170 tys. takich „pozornie zatrudnionych”. Ich obecność budziła sprzeczne reakcje — od współczucia do sprzeciwu. Z jednej strony Rady Robotnicze niejednokrotnie zakładały własne kasy emerytalne albo wydzielały stałe fundusze dla rencistów danego zakładu, przesuując na ten cel niemałe sumy z funduszu płac. Z drugiej wywoływało to zarówno obawy władz, że to na państwo spadnie obowiązek finansowania tych kas, jak i zarzuty ze strony personalnych (za zwiększanie absencji), innych zatrudnionych (obwiniających „rencistów” o obciążanie funduszu płac, a tym samym zmniejszanie zarobków) czy w końcu bezrobotnych (za blokowanie miejsc pracy). Problem próbowano rozwiązać nie tyle przez podwyższenie świadczeń (choć „stary portfel” systematycznie likwidowano), ile

⁵⁹ AAN, KC PZPR, 237/XXXI–245, Notatka w sprawie podstawowych założeń poprawy sytuacji materialnej rencistów, 18 grudnia 1957, k. 22–23.

⁶⁰ AAN, KC PZPR, 237/V–258, Narada sekretarzy propagandy KW, 7 lutego 1958. W Poznaniu część aparatu partyjnego obwiniała za wzrost liczby kradzieży w zakładach przemysłowych straż przemysłową rekrutującą się spośród ludzi starych, marnie zarabiających i w rezultacie niezainteresowanych pracą; AP Poznań, Komitet Wojewódzki PZPR, 74/V/48 nr 21, Informacja o sytuacji w organizacjach partyjnych i zakładach pracy na terenie Poznania, 28 marca 1957, k. 82.

metodą administracyjną — ustawa z 28 marca 1958 ograniczała możliwość łączenia pracy z emeryturą⁶¹.

„PIENIĄDZE SIĘ PRZELICZA”

Na okładce pierwszego numeru satyrycznych „Szpilek” z 1951 r. redakcja umieściła charakterystyczną karykaturę Jerzego Zaruby. Na ruchomych schodach (otwarte półtora roku wcześniej na warszawskiej Trasie W–Z stały się wizytówką socjalistycznej nowoczesności) w górę jechały złotówka (w czapce krakusce) i rubel (oczywiście w „leninówce”), przyglądając się zjeżdżającym w dół zgrzybiałym dolarowi, funtowi i francuskiemu frankowi (też w symbolicznych nakryciach głowy). O ile waluty Polski i ZSRR sprawiały wrażenie silnych i optymistycznych, o tyle kapitalistyczne były wyraźnie zmęczone i przegrane. Podpis nie budził zresztą wątpliwości: „W górę i w dół. Zniżka cen i wzmocnienie waluty w ZSRR i w Polsce oraz stały wzrost cen i spadek wartości waluty w krajach kapitalistycznych”⁶².

Istotnie, narzucony w 1950 r. oficjalny kurs polskiej waluty — cztery złote za dolara — był nie tylko kwantytatywnie lepszy niż kiedykolwiek przed wojną, lecz także — dzięki mariażowi z rublem, ową „najstabilniejszą walutą świata”, nie podlegał wahaniom. Trudno jednak powiedzieć, czy jakkolwiek obywatel obliczał, że np. w 1955 r. miesięcznie zarabiał przeciętnie 252 dolary, a rok później o ponad 20 więcej! Jeżeli tak, to musiała być to świadomość irytująca — ustawy walutowe z października 1950 r. ustalające powyższy parytet polskiej waluty jednocześnie zabraniały posiadania dewiz, a za nielegalny obrót nimi groziły nawet karą śmierci. Jednak gdyby polskiemu społeczeństwu dano wybór między „zwykłym” rublem a „przegrany” dolarem, bez wahania zdecydowałoby się na tego drugiego. Amerykańska waluta była bowiem skutecznym lekiem na problemy zarówno ekonomiczne, jak i psychologiczne Polaków. Schowane na strychu czy w ogródku dolary lub funty (najlepiej złote) wydawały się najlepszym zabezpieczeniem na czarną godzinę i pozwalały mieć nadzieję na uchronienie oszczędności przed podobnym — i w przekonaniu społecznym wciąż grożącym — kataklizmem, jak wymiana pieniędzy w 1950 r. Nie bez znaczenia była również symboliczna rola amerykańskich banknotów i monet, świetnie pokazana w „Rewersie” Borysa Lankosza (2009)⁶³. Tylko część posiadanych dewiz sprzedano więc państwu po narzuconym czterozłotowym kursie lub oddano do bankowego depozytu.

⁶¹ Dz.U. 1958, nr 21, poz. 98.

⁶² „Szpilki”, 1, 7 stycznia 1951.

⁶³ O roli dewiz vide M. J a s t r z ą b, *Kilka uwag o funkcjach walut obcych w rzeczywistości Polski Ludowej*, [w:] *Społeczeństwo PRL. Historia. Kultura. Pamięć*, t. I: *Historia*, red. S. J a n k o w i a k, D. S k o t a r c z a k, I. S k ó r z y ń s k a, Poznań 2010, s. 148–150.

Większość ukryto, czekając na lepsze czasy. Nie zamarł też — mimo restrykcji — czarny rynek walutowy, schodząc tylko głębiej do podziemia⁶⁴.

Odważniej wychynął z niego w 1956 r., kiedy wraz z osłabieniem władzy i zelżeniem restrykcji granicznych zaczął błyskawicznie rosnąć przemysł poszukiwanych w Polsce artykułów — zegarków, kosmetyków czy tekstyliów. Niezależnie, kto je przywoził — marynarze, dyplomaci, sportowcy lub urzędnicy — musiał najpierw wywieźć z kraju dewizy, zwiększając na nie popyt, a w rezultacie i ceny. O ile też pod koniec 1955 r. dolar kosztował na nielegalnym rynku 95 zł, o tyle w kwietniu 1956 r. należało za niego zapłacić nawet 125 zł⁶⁵. Również przeciętni obywatele dysponujący wolną gotówką (a takich bynajmniej nie brakowało) i którym nagle przybyło odwagi, zaczęli inwestować w dewizy, tym bardziej że władze już specjalnie nie interweniowały. Sytuacja stawała się schizofreniczna, nic też dziwnego, że ekonomiści i prasa zaczęli się coraz głośniej domagać „amnestii” walutowej i legalizacji posiadania twardych walut. Jednak władze odważyły się na taki krok dopiero po Październiku. Rozporządzenie ministra finansów z 7 listopada 1956 było krótkie, ograniczało się w zasadzie do zmiany dwóch paragrafów ustawy dewizowej z 1952 r. Paragrafowi 33. nadano teraz brzmienie: „Posiadanie w kraju zagranicznych środków płatniczych oraz złota i platyny w postaci stanowiącej wartość dewizową [...] jest dozwolone”; kolejny paragraf umożliwił bezproblemowe podjęcie „wartości dewizowych”, złożonych w przymusowych bankowych depozytach⁶⁶. Do takiego kroku skłoniło jednak władze nie tyle jakiegokolwiek poczucie sprawiedliwości społecznej, ile ekonomiczne wyrachowanie. To, że anulowano wszelkie postępowania karne o posiadanie walut czy postanowiono zwrócić ok. 50 tys. dolarów z depozytów, nie było jednoznaczne z rekompensatą dwunastokrotnie większej sumy dewiz, które od jesieni 1950 r. Polacy — najczęściej ze strachu — sprzedali państwu. Na konferencji prasowej zorganizowanej 9 listopada 1956 w Ministerstwie Finansów od razu zaznaczono, że „prawo do dochodzenia swoich praw mają wyłącznie osoby, które dowiodą, że swego czasu zmuszono je do sprzedaży”⁶⁷. Nie wiadomo, ilu osobom się to udało.

Podczas konferencji minister finansów Tadeusz Dietrich i jego urzędnicy nie ukrywali, że chodzi przede wszystkim o „uruchomienie tezauryzowanych obecnie walut, wykorzystanie ich — przede wszystkim — dla poprawy zaopatrzenia w surowce i maszyny rzemiosła oraz w nawozy sztuczne, środki owadobójcze, materiały budowlane i także maszyny — rolników”⁶⁸. Nie przeliczono się i rzeczy-

⁶⁴ J. Kochanowski, *Tylnymi drzwiami*, s. 285–289. Ceny na czarnym rynku przekraczały dwudziestokrotnie oficjalny kurs, np. w 1954 r. oscylując wokół 75–85 zł; HIM, P–612, Item No 2044/54, Prices of foreign currency, gold, silver and jewels.

⁶⁵ HIM P–6211, Item No 8798/56, Foreign exchange trade flourishes.

⁶⁶ Dz.U. 1956, nr 50, poz. 223.

⁶⁷ *W sprawie zniesienia zakazu posiadania walut, złota i platyny*, TL, 10 listopada 1956.

⁶⁸ Ibidem; „Amnestia” walutowa, SP, 10/11 listopada 1956.

wiście zainteresowanie ofertą Polskiej Kasy Opieki wyraźnie wzrosło bezpośrednio po ogłoszeniu rozporządzenia. „Zaraz po wejściu do gmachu — informował »Sztandar Młodych« — rzuca się w oczy duży tłok interesantów oglądających wystawione tu towary i załatwiających konieczne formalności”⁶⁹. Oferowany asortyment nie był jednak, nawet z ówczesnej perspektywy, rewelacyjny, a ceny słone: można było kupić m.in. wieczne pióra z 1–4 dolary, maszynki do golenia za 6, importowaną czeską jawę za 340 czy eksportową wersję motocykla WFM za 180 dolarów⁷⁰.

Przyzwolono na posiadanie dewiz, nie rozwiązując jednak tak podstawowych kwestii, jak swobodny (i legalny) dostęp do nich, nie zmieniono też absurdałnego kursu.

Wobec odcięcia Polski od świata kapitalistycznego i braku ruchu turystycznego utrzymywanie sztucznego kursu złotego było możliwe. — pisali o latach 1950–1956 Cecylia Leszczyńska i Andrzej Jezierski — Wyjeżdżający na Zachód mógł za 400 marnych złotych otrzymać w legalnej wymianie 100 całkiem wartościowych dolarów, ale dotyczyło to tylko nielicznych wybrańców: sportowców, dyplomatów, dziennikarzy, artystów. [...] W sytuacji odwrotnej znajdowali się sportowcy dyplomaci, dziennikarze i artyści przyjeżdżający z krajów zachodnich. Wymieniali oni 100 dolarów na 400 złotych, co stanowiło równowartość dobrej kolacji w przyzwoitym hotelu⁷¹.

Jeżeli taką sytuację można było jeszcze bagatelizować przy prawie całkowitym odcięciu Polski od świata, to przy szerszym otwarciu granic stary kurs zaczął coraz bardziej uwierać. Zwłaszcza że rozdziew między kursem oficjalnym a czarnorynkowym stał się w listopadzie 1956 r. już pięćdziesięciokrotny — w czasie kryzysu sueskiego poszybował bowiem na niebotyczny poziom 200 zł. Wkrótce co prawda spadł, ale i tak oscylował wokół 150 zł⁷².

Dało to silny impuls do dyskusji zarówno w kraju, jak i za granicą, ile naprawdę warta jest złotówka. Nie ulegało wątpliwości, że oba kursy — oficjalny i wolnorynkowy są nierealne. Oba też były funkcjami czynników pozafinansowych — pierwszy decyzji politycznych, drugi strachu i niezrealizowanych dążeń i marzeń konsumpcyjnych. Wyśrubowany kurs na czarnej giełdzie był bowiem w niemałej mierze spowodowany wyższymi niż na Zachodzie — nieraz wielokrotnie — cenami artykułów uchodzących w Polsce za luksusowe — zegarków, wyrobów z tworzyw sztucznych, konfekcji⁷³. Nie był to wyznacznik wiarygodny, próbowano

⁶⁹ *Waluty w obiegu*, „Sztandar Młodych”, 306, 1956.

⁷⁰ *Ibidem*.

⁷¹ A. Jezierski, C. Leszczyńska, *Historia gospodarcza Polski*, Warszawa 1999, s. 537.

⁷² HIM P-6211, Item No 5594/57, History of the dollar black market in Poland, październik 1957.

⁷³ Jak zauważał w lipcu 1957 r. dziennikarz „Prawa i Życia”, w Paryżu czy Londynie nylonowe pończochy kosztowały tyle co kilogram mięsa, w Warszawie — odpowiednik 7–8 kilogramów; J. Hibner, *Uwaga-przemyl!*, „Prawo i Życie”, nr 15, 14 lipca 1957.

więc porównać codzienny koszyk cen np. z Belgią. W końcu 1956 r. za jednego dolara można było w Antwerpii czy Brukseli kupić tyle kawy, ile w Polsce za 80 zł, stuprocentowych tkanin wełnianych — 70–90, masła — 30, chleba — 15–20, wieprzowiny — 20, wołowiny — 12–14, mleka — 16, węgla — 3 i energii elektrycznej — 16 zł. Jednocześnie w Polsce były nieporównywalnie tańsze — dotowane przez państwo — czynsze lub przejazdy etc. Ostatecznie proponowano kurs lokujący się gdzieś między przelicznikiem „mięsnym” a „maślanym”, określając nową, zracjonalizowaną cenę dolara na 20–30 zł⁷⁴.

Za granicą obserwowano „kursową” dyskusję przede wszystkim w środowiskach polonijnych, jednocześnie z nadzieją (przyjazdy do kraju potanieją!), jak i obawami — nowe ceny podrożą bowiem wyjazdy z Polski na Zachód⁷⁵. Ostatecznie nowy, zróżnicowany kurs walut wprowadzono 11 lutego 1957. „Kurs turystyczny”, dla gości z zagranicy i Polaków wyjeżdżających na Zachód, wynosił teraz 24 zł, natomiast dla osób, którym np. rodziny oficjalnie przysyłały pieniądze przez bank PeKaO i chciały je sprzedać państwu lub przeznaczyć na zakupy we wspomnianych wyżej sklepach dewizowych — 72 zł⁷⁶.

Na fali wciąż odczuwalnej popaździernikowej euforii zmiany te przyjęto wręcz jako zapowiedź legalizacji wolnego obrotu dewizami. W dyskusji zabrał publicznie głos nestor polskich ekonomistów Adam Krzyżanowski, nie tylko chwalać w „Tygodniku Powszechnym” finansową politykę rządu, lecz także dając rady. Proponował wymienialność złotówki na rynku wewnętrznym, lokując kurs między ceną wolnorynkową a 70 zł, odpowiadającymi według prekursora polskiego libertarianizmu sile kupna dolara za granicą. Rozwiązanie takie pozwoliłoby zlikwidować czarny rynek dewiz, które obywatele będą sprzedawali państwu⁷⁷. Krzyżanowski jednak przecenił rzeczywistość, a podobne rozwiązanie wprowadzono dopiero 32 lata później.

Tymczasem czarna giełda wręcz kwitła. Zmiana kursów była bowiem tylko ćwierćśrodkiem, który rzeczywiście nieco polepszył sytuację turystów

⁷⁴ J. R u d a w s k i, *Ile jest warta nasza złotówka*, ŻW, 18 grudnia 1956.

⁷⁵ *Lada dzień dewaluacja złotego*, „Dziennik Polski. Dziennik Żołnierza”, 1 stycznia 1957.

⁷⁶ A. J e z i e r s k i, C. L e s z c z y Ń s k a, *Historia gospodarcza*, s. 539. Dyrektor Departamentu Zagranicznego NBP Eugeniusz Leszczyński kilka dni później chwalił w radiu spodziewane skutki reformy. Przede wszystkim turyści przestaną się skarżyć na Polskę jako najdroższy kraj świata — obiad za 48 zł będzie kosztował ich dwa dolary, a nie 12, zaś bilet do kina 15 centów zamiast ponad dolara jak wcześniej! Miała się także poprawić sytuacja emerytów dostających pieniądze z USA, Francji, Belgii czy RFN. Nie ukrywał natomiast, że stracą „osoby korzystające z usług i świadczeń kwotowanych i regulowanych w walutach obcych wg cen światowych, za które płaci się w złotych, [które] korzystały z tych usług i świadczeń po wyjątkowo niskich cenach. Dotyczy to w szczególności przejazdów na trasach zagranicznych, korzystania z telekomunikacji itp.”; HIM, Komunikat nasłuchu radiowego Radia Wolna Europa (Rozgłoszenia Warszawa III, 15 lutego 1957).

⁷⁷ A. K r z y ż a n o w s k i, *Polityka dewizowa rządu na dobrej drodze*, „Tygodnik Powszechny”, nr 6, 1957; *Czy nastąpi legalizacja wolnego obrotu dewizami w Polsce?*, „Polak”, nr 7, 1957.

i „krajowców dewizowych”. Nerozwiązana pozostała natomiast kwestia najistotniejsza, czyli oficjalny sposób nabywania dewiz. Legalny był w rzeczywistości tylko pięciodolarowy przydział, który można było wykupić po kursie turystycznym przy wyjeździe na Zachód. Tymczasem popyt na dewizy bynajmniej nie malał, a przy ograniczonej podaży kurs czarnorynkowy nieraz wręcz szalał. Jak wiosną 1958 r. komentowano sytuację sprzed roku: „Dużą część popytu na czarnej giełdzie stwarza zawsze pieniądź kradziony, pieniądź pochodzący z malwersacji i nadużyć, który z konieczności potrzebuje szybkiego »upłynnienia« w formach łatwo przenośnych i łatwo ukrywanych”⁷⁸. Tych zaś w 1957 r., w różnych formach, nie brakowało. Dolary kupowali przedstawiciele prywatnej inicjatywy zarówno jako zabezpieczenie na przyszłość, próbując ukryć część dochodów przed urzędem finansowym, jak i na zakup surowców lub maszyn nieosiągalnych za złotówki. W końcu i dla zwykłych ciułaczy dolary — w banknotach czy monetach — stały się wygodną, anonimową i do tego dość bezpieczną formą tezauryzacji.

Nielegalny obrót paradoksalnie napędzało wspierane przez władzę korzystanie z pośrednictwa Polskiej Kasy Opieki. Z jednej strony kupujący nie zawsze miał możliwość wyboru fasonu czy koloru produktu, po drugie zazwyczaj należało nabyć określoną jego ilość, np. nie mniej niż dziesięć metrów popeliny⁷⁹. Skłaniało to do korzystania z usług nieoficjalnych importerów, których transgraniczna działalność szybko ulegała daleko idącej profesjonalizacji, a dokonywane przez nich transakcje nieraz sięgały kilkunastu tysięcy dolarów⁸⁰. Zawiaływały się dobrze funkcjonujące międzynarodowe sieci, przed udziałem w których bynajmniej nie wzdrygali się obywatele państw zachodnich. Na przykład od września 1956 do marca 1957 r. dwóch Austriaków kilkakrotnie odwiedzało Polskę, przywożąc ok. 11 tys. szwajcarskich zegarków dystrybuowanych przez polskich współpracowników. Zarobione dewizy (jak obliczano — co najmniej 48 tys. dolarów, nie licząc kilkuset kilogramów srebra i złotówek) transferowano do Wiednia⁸¹. Wzrost prywatnego importu, finansowanego przecież w dużym stopniu wymycanymi z Polski dewizami, ilustruje przykład z Urzędu Celnego w Gdyni, który w 1956 r. zajmował się 338 przypadkami przemytu wartości 387 tys. zł, a w 1957 — 982 przypadkami i 4,5 mln zł!⁸²

Nasilający się od 1956 r. zróżnicowany ruch transgraniczny — turystyka, wyjazdy służbowe, imigracja i emigracja — w równie zdywersyfikowany sposób wpływały na coraz bardziej masowe przeliczanie dewiz na złotówki (i odwrotnie). Praktycznie każdy wyjazd — prywatny i służbowy na Zachód (i czasami Wschód)

⁷⁸ *Sygnaly z czarnej giełdy*, „Kurier Polski”, 13 maja 1958.

⁷⁹ GP, 28 lutego 1957.

⁸⁰ Ibidem.

⁸¹ APW, KW PZPR, 30/XVIII–7, t. 1, Walka z podziemiem gospodarczym i przestępczością gospodarczą oraz spekulacją na terenie m.st. Warszawy, k. 35–36.

⁸² AAN, KC PZPR, 237/XXXI–266, KW PZPR w Gdańsku, Notatka o utrudnieniach w sprawowaniu kontroli celnej przez Urzędy Celne Gdyni i Gdańska (przed 6 sierpnia 1958), k. 99.

nakręcał nielegalny obrót. Zwłaszcza wyjeżdżający regularnie zaczęli traktować podróże jako źródło stałego, wysokiego zarobku, nawiązując kontakty w kraju i za granicą, przed wyjazdem zbierając zamówienia, gromadząc dewizy i towary do odsprzedaży⁸³. Również goście z zagranicy doskonale się orientowali, że oficjalnie sprzedać należy tylko wymagane minimum dewiz, a kupcy na resztę znajdują się bez najmniejszego problemu. Tym bardziej że w sprzyjającej popaździernikowej atmosferze czarna giełda błyskawicznie rozkwitła, a obok starej gwardii „koniaków” pojawiła się grupa młodych, „którym to lekkie robienie pieniędzy podobało się bardzo. [...] Polem ich działania są cudzoziemcy. Minimalna znajomość języków obcych wyniesiona ze szkół wystarcza do nawiązania rozmowy na tematy »handlowe«. Kupując po niskiej cenie obce waluty zarabiają przeciętnie na dolarze od 20 do 50 zł. [...] W »cywilu« są oni [...] urzędnikami, studentami lub niezatrudnionymi”⁸⁴. Zresztą większość przyjezdnych stanowili Polonusi, z którymi kontakt był tak czy inaczej ułatwiony, choć jednocześnie byli dobrze zorientowani w cenach i okazyjne kupienie od nich dolarów czy funtów nie było łatwe. Każdy z nich zostawiał w kraju przeciętnie 300–400 dolarów, tak więc tylko z ich portfeli mogło trafić na rynek w 1957 r. ok. 1,5 mln dolarów⁸⁵.

Nie należało do rzadkości, że dewizy przywozili z sobą liczni w latach 1956–1957 repatrianci z ZSRR, którzy kupowali je przede wszystkim we Lwowie i radzieckiej Mołdawii, gdzie miały być nawet o 40% tańsze niż nad Wisłą⁸⁶. Identyczne motywacje — zapewnienie sobie lepszego startu w nowej ojczyźnie — przyświecały ponad pięćdziesięciotysięcznej grupie emigrantów żydowskich opuszczających w 1957 r. Polskę⁸⁷. Chociaż plotki mitologizowały wielkość majątku — w dewizach, złotych, dziełach sztuki czy wyposażeniu mieszkań — wywożonego przez emigrantów, to „*alija Gomułki*”, jak nazywano ten *exodus*, spowodowała przejściowy wzrost czarnorynkowego kursu dolara nawet do poziomu „sueskiego”⁸⁸.

⁸³ J. H i b n e r, *Uwaga-przemysł!*, „Prawo i Życie”, nr 15, 14 lipca 1957.

⁸⁴ HIM, Pressearchive, P-612, Item 5169/57, Dollars brought from USSR. Rate for black market gold. Jak pisano w polonijnym dzienniku, „wykupowaniem obcych walut trudnią się nierzadko portierzy i służba hotelowa, nawet członkowie orkiestr restauracyjnych”; „Dziennik Polski. Dziennik Żołnierza”, 181, 31 lipca 1957.

⁸⁵ Jak podkreślano: „Różne organizacje podejmowały inicjatywę, która by pozwoliła przybyłym z zagranicy Polakom sprzedawać waluty po korzystnym kursie bez zasilania czarnego rynku. Jednak władze Narodowego Banku Polskiego i ministerstwo finansów upierają się przy fikcji, dezorganizując rynek walutowy i krzywdząc turystów i ich rodziny w Polsce”; *ibidem*.

⁸⁶ HIM, P-612, Item No 5169/57, Dollars brought from USSR. Rate for black market gold.

⁸⁷ D. S t o l a, *Kraj bez wyjścia? Migracje z Polski 1949–1989*, Warszawa 2010, s. 129–140.

⁸⁸ HIM, P-612, Item No 5169/57, Dollars brought from USSR. Rate for black market gold; *ibidem*, P-6211, Item No 5594/57, History of the dollar black market in Poland. Wtedy też narodziła się legenda, kursująca w różnych odmianach i dla różnych czasów (zazwyczaj emigracji 1968 r.), o próbie wywiezienia przez dyrygenta Orkiestry Tanecznej Polskiego Radia Jana Cajmera złotej (czasami pla-

Stosunkowo szybko wypracowano zresztą *quasi*-legalne sposoby zamiany złotych na dewizy i to po niezwykle opłacalnym kursie. Aż do jesieni 1957 r. można było bowiem opłacić w złotych międzynarodowe bilety lotnicze czy realizowane za granicą vouchery. Korzystali z tego emigranci, na jeden paszport kupując nieraz po kilka biletów powrotnych sprzedawanych po wyjeździe za twardą walutę, spłacaną potem przez państwo. Innym sposobem było kupowanie voucherów „na nieokreślone trasy lotnicze, limitowane tylko w dolarach USA. Kupowane są w Polsce za złote, a następnie Skarb Państwa obciążany jest w dewizach”⁸⁹.

Okazało się, że jeżeli ktoś był wystarczająco mobilny i kreatywny, to swoje „oswojenie” systemu, znalezienie w nim luk pozwalających na opłacalne (choć nie do końca legalne) operacje finansowe wcale nie było takie trudne, a zrobienie „międzynarodowego” interesu nie wymagało przemycania z Polski wódki czy dzieł sztuki. Jak opowiadał latem 1957 r. pracownikowi Radia Wolna Europa przybysz z Polski, w Niemczech, gdzie polska waluta nie jest specjalnie ceniona, kupuje się ją, dostając za jedną markę 50–60 zł. Potem wystarczy przejechać do Francji, gdzie z racji jakichś zobowiązań w polskiej walucie zainteresowanie złotym jest większe, a tym samym jego kurs znacznie bardziej opłacalny. Po wymianie złotych trzeba tylko kupić łatwo i z odpowiednim zyskiem zbywalne w kraju towary⁹⁰. Trudno oczywiście ocenić wiarygodność i powszechność takiego zjawiska. Bezsprzecznie zarówno wiarygodniejsze, jak i łatwiejsze, choć też nie wiadomo jak częste, było rozwiązanie opisane przez dziennikarza „Życia Gospodarczego”. Okazało się bowiem, że niektóre banki zachodniobrzeńskie nie tylko notują według giełdy w Zurychu polską walutę, lecz także pozwalają nią wręcz zasilać otwarte bez żadnych problemów konto. Jak tłumaczył Grzegorzowi Pisarskiemu pracownik berlińskiego banku, „na listowną dyspozycję będziemy z niego przekazywać odpowiednie sumy na PKO w Anglii, Francji, ewentualnie jakiejś firmie, która prześle panu do Polski zamówione towary. Jeżeli pan nie chce korespondować z bankiem, dyspozycje może pan przesłać również pod prywatnym adresem naszego kasjera”⁹¹.

Daleko posunięta dyskrecja była zrozumiała, tym bardziej że beneficjentami powyższych rozwiązań byli zazwyczaj nie tyle „standardowi” spekulanci, w połowie 1957 r. stający się czołowym bohaterem negatywnym oficjalnej propagandy, ile przedstawiciele państwa — urzędnicy, inżynierowie, handlowcy czy dziennikarze.

tynowej!) patelni; HIM, P-01512, Item, 5463/57, Regime discourages Jewish emigrants from returning, 6 września 1957. Co interesujące, w ogóle nie występuje „dewizowy” kontekst wyjeżdżających w latach 1956–1957 Niemców!

⁸⁹ APW, KW PZPR, 30/XVIII-7, t. 1, Walka z podziemiem gospodarczym i przestępczością gospodarzą oraz spekulacją na terenie m.st. Warszawy, k. 37.

⁹⁰ HIM, P-6221, Item No 5439/57, Polish trade delegates' currency dealings.

⁹¹ G. Pisarski, *Na wschodzie i zachodzie. Notatki berlińskie*, „Życie Gospodarcze”, nr 20, 19 maja 1957; *Operacje walutą polską w Berlinie Zachodnim*, „Dziennik Polski. Dziennik Żołnierza”, 28 maja 1957.

Nie odczuwali zahamowań przed tego typu działalnością, czując się — jak należy przypuszczać — usprawiedliwieni tym, że instytucje państwowe też nie cofały się przed balansującymi na granicy prawa metodami działania. Przykładem mogą być interesy prowadzone wtedy przez Baltoneę. Polska flota nie bez powodu była już od 1945 r. określana jako nie tyle „handlowa”, ile „handlująca”, a tzw. import marynarski był jednym z ważniejszych kanałów dopływu zagranicznych produktów na polski rynek. Część z nich marynarze kupowali sami za granicą, część już na miejscu, w Baltonie, odsprzedając później z dużym zyskiem w państwowych Delikatesach czy Galluksie. Po Październiku procedury tej jak najbardziej legalnej operacji tak uproszczono, że „marynarz mógł się nawet nie stykać z zakupionym za dewizy, a następnie sprzedanym za złote polskie towarem, gdyż w jednym okienku wręczał bon na określoną sumę dewizową, którą np. przeznaczał na zakup kakao, a w drugim okienku odbierał złote polskie za sprzedaż tego kakao po kursie 1 \$ = 160 zł⁹². Nic też dziwnego, że dla marynarzy uposażenie w polskiej walucie stało się w rzeczywistości zasiłkiem na drobne wydatki, a prawdziwy zysk przynosił dodatek dewizowy, którym umiejętnie obracano w celu wygenerowania najlepszego kursu dolara⁹³.

Przełom lat 1957 i 1958 przyniósł jednak załamanie trwającej ponad rok dolarowej hossy. Pod koniec 1957 r. dolar osiągnął (a na krótko wręcz przekroczył!) magiczną granicę 200 zł, by na początku 1958 r. spaść o prawie połowę i ustabilizować się na poziomie ok. 120 zł. Z jednej strony zwiększyła się podaż dewiz, zarówno przez rosnący przyjazdowy ruch turystyczny, jak i zmianę strategii pomocy przez Polonię, która zaczęła rodzinom w kraju przysyłać pieniądze, a nie paczki! Z drugiej strony ponowne utrudnienia w otrzymaniu paszportu i urealnienie cen komunikacji międzynarodowej ograniczyły wyjazdy. Opadła też emigracyjna fala Żydów i Niemców. Zapalenie czerwonego światła prywatnej inicjatywie ograniczyło jej dochody — i tym samym ich część przeznaczaną na dewizową tezauryzację. W grudniu 1957 r. Bank PeKaO zaczął się wycofywać z zaopatrywania rzemiosła w importowane surowce i maszyny, co wyraźnie zmniejszyło nacisk prywatnego sektora na rynek dolarowy. Skutki przyniosła również walka z „przestępczością gospodarczą” — opustoszałe na przełomie lat 1956 i 1957 więzienia pod koniec roku znowu się zapełniły, osiągając dawny stan⁹⁴. To była jednak tylko jedna strona medalu. W latach 1956 i zwłaszcza 1957 polskie społeczeństwo przekroczyło bowiem dolarowy rubikon i z obranej drogi nie dało się już zepchnąć.

*

⁹² AAN, KC PZPR 237/XXXI–248, Wnioski komisji partyjno-rządowej powołanej do zbadania niektórych zagadnień dotyczących załóg pływających na statkach Polskiej Marynarki Handlowej, k. 1.

⁹³ AAN, KS, 107, k. 584, Posiedzenie Komisji Gospodarki Morskiej i Żeglugi, 7 czerwca 1958.

⁹⁴ W. Telega, *Czy złotówka staje się droższa?*, SP, 12 marca 1958; *Sygnaly z czarnej giełdy*, „Kurier Polski”, 13 maja 1958.

Olbrzymia część społeczeństwa nieszczęśliwie mogła się na przełomie 1957 i 1958 r. uznać za finansowych beneficjentów rewolucji międzypaździernikowej: emerytury i renty w dalszym ciągu były głodowe, pensje niskie, podatki wysokie. Jednak był to okres, kiedy praktycznie całe społeczeństwo przeżyło przyspieszony kurs ekonomii dzięki szerszemu otwarciu granic i legalizacji posiadania dewiz również o charakterze międzynarodowym. Ekonomiczne strategie społeczne wykreowane lub rozwinięte w latach 1956–1957, odpowiednio pielęgnowane owocowały długo, z pewnością do końca istnienia znacjonalizowanej planowej gospodarki.

“Everyone wants to find some way of living”. Money, poverty, and richness in (post)October Poland (1956–1957)

While political aspects of the 1956–1957 “thaw” were blurred soon afterwards, social changes and modernizations — from the strengthening of private sector through a development of motorization and changes in consumption to conscious motherhood — were of lasting nature, and their consequences were felt throughout the following decades. The present article, while not aspiring to be a thorough economic analysis, indicates — with a full knowledge of its superficiality and taking into consideration only selected aspects — one of the most important and at the same time more rarely noticed problems of post-October reality — the problem of money!

In the mid-1956, the attitude of both the state authorities and the people to finances in a broad sense of the word changed. Money became an element of open debates, a real tool of politics, a determinant of social stratification, and an object not only of desire and envy, but also of dispute. Not without significance was also a fact that in autumn of 1956 it was made legal for Polish citizens to keep foreign currency.

The article focuses on the interactions — with a common “financial” denominator — between the authorities trying to prevent inflation (although significantly rising income of people at the same time) and the society, rather than on the financial policy of the government. These processes occurred against the backdrop of broadly-understood consumption. And while for the authorities it served to reduce the inflation bias, for people it was a way of recovering from the Stalinist period and of achieving a higher standard of living. To this end various adaptation strategies were developed, such as additional jobs, illegal incomes of various kinds, including operations with foreign currencies.

But both the (temporary) democratisation of political life, and the evident desire of some people to get richer and buy more goods revealed huge spheres of poverty and at the same time of the lack of official procedures to fight against this phenomenon.